# RIP VAN WINKLE

(Rip Van Winkle)

Washington Irving

*Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski*

ZNALEZIONE MIĘDZY DOKUMENTAMI
NIEŻYJĄCEGO JUŻ DIEDRICHA KNICKERBOCKERA

2025

Niniejsza historia została znaleziona między dokumentami Diedricha Knickerbockera, starszego gentlemana z Nowego Jorku, który miał ogromne zainteresowanie holenderskimi czasami regionu, tradycjami sięgającymi pierwszych osadników. A jego folklorystyczne badania nie opierały się na książkach i dokumentach, ale na ludziach. Ponieważ nie było książek, które poruszałyby jego ulubiony temat, szukał ludzi: wiekowych *burghers*, a jeszcze lepiej ich żony, znające niezliczone legendy z dawnych czasów, tak cenne również dla właściwej historii. Gdziekolwiek więc natrafił na prawdziwą holenderską rodzinę, bezpiecznie żyjącą pod niskim dachem jej wiejskiego domu, w cieniu rozłożystej sykamory, czuł się jakby otwierał mały wolumin pełen baśni i studiował go z pasją autentycznego książkowego mola.

Efektem tych studiów jest opis folkloru w czasach, gdy region ten był zarządzany przez holenderskich gubernatorów. Kilka lat temu opublikował on wyniki swoich badań, w formie pracy historycznej. Opinie były podzielone względem literackości jego historycznej narracji (jeśli mogę użyć tego sformułowania), ale prawdę mówiąc, historia jest na tyle dobra, na ile dobra może być. Jej największą zaletą jest drobiazgowa dokładność, którą niewielu próbowało kwestionować wtedy, a która dziś jest oficjalnie uznanym osiągnięciem. Praca została włączona do różnorodnych historycznych kolekcji, jako źródło niekwestionowanej wiedzy.

Wiekowy gentleman zmarł wkrótce po opublikowaniu swojej pracy i dziś, gdy już nie może ucierpieć z powodu szczerej krytyki, możemy powiedzieć, że mógłby osiągnąć więcej w innej dziedzinie. Ale on oddawał się swojej pasji na swój sposób; ośmieszając czasami swoich sąsiadów, czasami wprawiając w zakłopotanie przyjaciół, do których czuł szczere oddanie i szacunek i można powiedzieć, że jego błędy i drobne szaleństwa są raczej pamiętane "z żalem, a nie gniewem." Wielu dziś uważa, że jego intencją nigdy nie było ranić czy obrażać. Ale jakkolwiek patrzą na niego krytycy, to trzeba przyznać, że ma on również szerokie grono wielbicieli, którzy szanują i zachowują jego opinie; są zwłaszcza pewni ciastkarze, którzy stworzyli specjalny rodzaj noworocznego wypieku z jego podobizną; dając mu szansę na przetrwanie w pamięci, niemal równą tej, która jest w udziale bohaterów z Medalu Waterloo albo pół-pensówki królowej Anny.

*Przysięgam na Wodena, Saksońskiego boga,*
*Od którego swe imię otrzymała Środa,*
*Prawdę dla siebie zachowam na zawsze*
*Aż do dnia, gdy me kości*
*Mogiła zatrzaśnie–*

CARTWRIGTH

Każdy, kto zawędrował w górny bieg rzeki Hudson musi pamiętać Kaatskill. Pasmo górskie oddzielone od wielkich Appalachów, które można widzieć na zachód od rzeki jak wznosi się na słuszną wysokość i góruje nad całym otaczającym je krajem. Każda zmiana pory roku, każda zmiana pogody, a nawet pory dnia, przynosi pewną zmianę w magicznych barwach i kształtach tych gór, a wszystkie gospodynie, jak kraj długi i szeroki, potrafią czytać z tych zmian jak z najlepszego barometru. Gdy pogoda jest ładna i stabilna, góry przywdziewają błękitne i purpurowe szaty i odciskają swoją wyrazistą linię na tle czystego, wieczornego nieboskłonu; ale, czasami, gdy reszta nieba jest bezchmurna, potrafią zgromadzić wokół swoich szczytów kołpak szarej pary, który w ostatnich promieniach zachodzącego słońca świeci i rzuca zorzę, jak korona chwały.

U stóp tych barwnych wzniesień, podróżny może dostrzec cienką smugę dymu unoszącego się sponad wioski, gdzie gontowe dachy połyskują pomiędzy drzewami, dokładnie tam, gdzie błękitne odcienie odległych wzgórz mieszają się ze świeżą zielenią bliższego krajobrazu. To niewielka ale bardzo stara wieś, założona przez holenderskich kolonistów, u zarania dziejów tego regionu, mniej więcej w czasach gubernatorstwa Petera Stuyvesanta (niech spoczywa w pokoju!), gdzie ciągle stoi kilka domów zbudowanych przez pierwszych osadników, domów ze ścianami murowanymi żółtą cegłą sprowadzoną z Holandii, z oknami ozdobnymi w ołowiane ramki i kurkami zwieńczającymi duspadowe dachy.

W tejże wiosce, w jednym z tych domów (niełądnie nadgryzionym zębem czasu), wiele lat temu, gdy kraj wciąż był tylko prowincją brytyjskiego Imperium, żył pewien dobroduszny człowiek o imieniu Rip Van Winkle. Był on potomkiem Van Winklów, tak świetnie pamiętanych ze swoich czynów w czasach Petera Stuyvesanta, któremu towarzyszyli w oblężeniu Fortu Christina. Jednak Rip nie odziedziczył zbyt wiele z wojowniczego charakteru swoich przodków. Jak wspomniałem, był on spokojnym, dobrodusznym człowiekiem; co więcej, dobrym sąsiadem i posłusznym, pozostającym pod pantoflem swojej żony, mężem. Ta ostatnia okoliczność, ten rys charakteru, miałkość ducha,

która sprawiła, że żona nie była w stanie traktować go poważnie, uczyniła go ogólnie popularną osobą w wiosce; ponieważ często bywa, że ci, którzy pozostają podlegli domowemu rygorowi, stają się najbardziej pomocni i towarzyscy poza domem. Ich temperament jest, niewątpliwie, przytępiony tymi domowymi szykanami; ale taka ukryta przed świadkami lekcja daje lepsze rezultaty w temacie cierpliwości i wytrwałości w cierpieniu niż wszystkie kazania świata. Apodyktyczna żona, w pewnym sensie, może być nawet traktowana jako umiarkowane błogosławieństwo. A w takim razie, Rip Van Winkle był błogosławiony potrójnie.

Pewne jest, że był on wielkim ulubieńcem wśród tych wszystkich gospodyń w wiosce, które, jak to zwykle bywa wśród słabej płci, wtrącały swoje trzy grosze do każdej domowej kłótni i nigdy nie omieszkały, w swoich plotkarskich komentarzach, zrzucać całą winę na panią Van Winkle. Również dzieci w wiosce zawsze witały go z okrzykami radości. Brał udział w ich zabawach, budował im zabawki, uczył puszczać latawce i strzelać z procy. Opowiadał im też długie historie o duchach, czarownicach i Indianach. Kiedykolwiek przechadzał się po wiosce, zawsze towarzyszyła mu grupa urwisów, którzy czepiali się jego surduta, wdrapywali się mu na plecy, bezkarnie płatali różnorakie figle. Również żaden pies w sąsiedztwie nie szczekał na niego.

Poważną niedoskonałością w naturze Ripa była nieokiełznana niechęć do pracy na swoim gospodarstwie. Przyczyna nie leżała w lenistwie, czy braku wytrwałości; bo był on w stanie przesiedzieć na mokrej skale, z długą i ciężką jak dzida Tatara wędką, łowiąc ryby, przez cały dzień, bez najmniejszej skargi, nawet jeśli nikt go do tego zajęcia nie popędzał. Potrafił też dźwigać na ramieniu swą ciężką strzelbę, wędrując poprzez lasy i bagna, w góry i w doliny, po to by ustrzelić parę wiewiórek albo dzikich gołębi. Nigdy nie odmawiał pomocy sąsiadowi nawet w najbardziej nieprzyjemnych obowiązkach, był pierwszy przy łuskaniu indiańskiej kukurydzy, albo przy budowie kamiennych ogrodzeń; wiejskie kobiety często zatrudniały go do swoich celów, do takich dorywczych zajęć, których ich mniej posłuszni mężowie nie chcieli się dotknąć. Krótko mówiąc, Rip był zawsze gotów poświęcić swój czas i siły dla innych, tylko nie dla samego siebie, wypełnianie rodzinnych obowiązków i utrzymywanie gospodarstwa w należytym porządku, zdawało się być ponad jego siły.

Umiał to wytłumaczyć. Przekonywał, że nie widział sensu wysilać się na tym najbardziej nieurodzajnym, zachwaszczonym fragmencie okolicy, który stanowił jego gospodarstwo; wszystko tu sprzeciwiało się jego wysiłkom. Jego płoty ciągle wywracały się; jego bydło albo gubiło się albo wchodziło w szkodę; chwasty na jego polach pleniły się szybciej niż gdziekolwiek indziej; deszcz zazwyczaj przychodził wtedy, kiedy miał do wykonania prace polowe. Całe więc gospodarstwo podupadało pod jego zarządem, akr po akrze, aż nie zostało więcej niż skrawek z indiańską kukurydzą i poletko ziemniaków. Było to najsłabiej kultywowane gospodarstwo w wiosce.

Dzieci Ripa, chodzące samopas, w obdartych ubraniach, dzikie, tak jakby były niczyje. Jego syn, również Rip, najbardziej do niego podobny, obiecywał odziedziczyć po ojcu wszystkie nawyki razem z jego ubraniami. Był przyklejony do fartucha matki jak źrebak do klaczy, odziany w stare bryczesy ojca.

Ale Rip Van Winkle był jednym z tych fortunnych śmiertelników z lekkodusznym, gładkim usposobieniem, który brał świat w łatwy sposób, jadł biały chleb tak samo jak razowy, w zależności, który z nich można było zdobyć z mniejszym wysiłkiem, głodowałby raczej za pensa, niż pracował za funta. Jeśli

pozostawiony by był samemu sobie, przegwizdałby całe swoje życie w pełnej beztrosce; ale jego żona niestrudzenie wypominała mu jego nieróbstwo, jego niedbalstwo i ruinę, którą ściąga na głowę całej rodziny. Poranek, południe czy wieczór, jej język nie mógł zaznać spoczynku, a cokolwiek by zrobił albo powiedział prowokowało tylko wodospad małżeńskiej retoryki. Rip znał tylko jeden sposób aby odreagować te wszystkie inwektywy, które sypały się gęsto na jego głowę, sposób, który z czasem przemienił się w mocno zakorzeniony nawyk. Wzruszał ramionami, kręcił głową, odwracał wzrok i pozostawał milczący. Ale to również mogło sprowokować świeże salwy ze strony żony, wtedy zmuszony był poddać się zupełnie i uciekać z domu, poza domem znajduje się bowiem jedyna część świata, która należy do takich prześladowanych przez żony mężów.

Jedynym sprzymierzeńcem Ripa wśród domowników był jego wierny pies o imieniu Wilk, nie mniej prześladowany niż jego pan. Pani Van Winkle uważała ich za "wspólników w przestępstwie", patrząc na Wilka bardzo złym wzrokiem, obwiniając go o to, że odciąga swojego pana od rodziny włócząc się z nim po okolicy. Prawdą było, że z której strony by nie patrzeć, szacowny pies posiadał więcej odwagi niż jakiekolwiek leśne stworzenie - ale cóż z tej całej odwagi w obliczu tego nieustającego i wszechogarniającego terroru kobiecego języka? Gdy Wilk wchodził do domu, jego mina rzedła, ogon kulił się pod brzuch, albo opadał na podłogę, przemykał kątami rzucając powłóczyste spojrzenia w kierunku pani domu, a przy najdrobniejszym poruszeniu kija od miotły albo warząchwi, ze skomleniem wyrywał w stronę drzwi wyjściowych.

Czas nie oszczędzał Ripa Van Winkle'a, gdy w ten sposób mijały mu lata ich małżeńskiego pożycia. Twardy charakter nie mięknie z wiekiem, a ostry język z czasem tylko wyostrza się od regularnego użycia. Przez wiele lat Rip oddawał się, w tych godzinach spędzonych poza domem, życiu towarzyskiemu przesiadując z miejscowymi mędrcami, filozofami i wszelkiego rodzaju szacownymi osobistościami w wiosce. Organizowali oni swoje spotkania na ławce przed niewielką gospodą, budynkiem ozdobionym rumianym portretem króla Jerzego III. Mieli zwyczaj przesiadywać tu całe letnie dnie, w cieniu, omawiając wszystkie miejscowe wydarzenia, albo opowiadając niekończące się historie o niczym. Ale gdy wpadła im w ręce stara gazeta, porzucona przez jakiegoś wędrowca, każde pieniądze warto było zapłacić, żeby usłyszeć poważne dyskusje, które wybuchały przy takich okazjach. Z jaką uwagą i namaszczeniem słuchali artykułów czytanych na głos przez Derricka Van Bummela, dyrektora wiejskiej szkoły, dobrze wykształconego, niedużego człowieka, który nie czuł się onieśmielony najtrudniejszym nawet słowem, na które natrafiał w czasie czytania dziennika. Jakże mądre opinie wypowiadali na temat wydarzeń w wielkim świecie, wydarzeń sprzed miesiąca, albo jeszcze wcześniej.

Opinie tego gremium pozostawały pod całkowitą kontrolą Nikolasa Veddera, najstarszego wśród nich i jednocześnie właściciela gospody, przed drzwiami której zwykł przesiadywać nieruchomo z fajką w ustach od rana do wieczora, ruszając się tyle tylko, żeby uniknąć zbyt dotkliwych promieni słońca i schronić się w cieniu dużego drzewa. Tak, że sąsiedzi, obserwując go, mogli odgadnąć godzinę tak dokładnie, jakby czytali z tarczy słonecznego zegara. Prawda, że rzadko słyszano go mówiącego, ale za to bez przerwy palił fajkę. A jego nawyk palenia fajki posiadał pewien dodatkowy sens. Jego zwolennicy (każdy ma jakichś zwolenników), potrafili odczytać to ukryte znaczenie, wiedzieli jak rozumieć ten dodatkowy sens. Rzecz była prosta: jeśli cokolwiek z czytanych faktów nie zadowalało Nikolasa, pykał z fajki w sposób nerwowy, posyłając w

powietrze krótkie, urywane kłębki dymu, ale gdy czuł się usatysfakcjonowany tym, co słyszał, wdychał dym powoli, ze spokojem i wypuszczał go jasnymi, kłębiastymi chmurkami. Czasami odrywał cybuch od warg i pozwalał małemu strumykowi dymu zatoczyć kręgi wokół jego nosa, kiwając jednocześnie z powagą głową na znak pełnej aprobaty.

Ale nawet z tego szacownego miejsca, biedny Rip był przeganiany przez apodyktyczną żonę, która potrafiła pojawić się nagle, burząc dostojny spokój zgromadzenia i wyzywając obecnym od najgorszych, nie oszczędzając nawet tak znakomitej osobowości jak Nikolas Vedder, który oczywiście pozostawał obojętny na krzyki tej strasznej amazonki, gdy oskarżała go o podjudzanie jej męża do lenistwa.

Biedny Rip, skulony w sobie, pełen desperacji, uciekał się do ostatniej szansy jaka mu pozostawała aby uniknąć strofowania i obowiązków w gospodarstwie. Zabierał swoją strzelbę i znikał w okolicznych lasach. Tam mógł pozostawać w spokoju, siedząc u stóp drzewa, dzieląc swoje skąpe prowianty z Wilkiem, który był jego nieodłącznym towarzyszem w tych ucieczkach. “Biedny Wilk,” mawiał do psa, “pani Van Winkle zmienia twoje życie w prawdziwie pieskie życie, ale nie martw się, przyjacielu, dopóki żyję nigdy nie zabraknie ci bratniej duszy!” Wilk merdał ogonem, patrzył mu w oczy z uwagą i jeśli psy potrafią współczuć, jestem pewny, że współczuł mu z całego serca.

W czasie jednaj z takich długich wędrówek, pięknego jesiennego dnia, Rip nieświadomie zapuścił się w najwyższe partie gór Kaatskill. Zaabsorbowany swoim ulubionym sportem – polowaniem na wiewiórki – i spokojem odosobnionego miejsca, który przerywał od czasu do czasu wystrzałami, których huk odbijały głuche leśne echa.

Ciężko dysząc, wyczerpany swoim sportem, ułożył się na zielonym pagórku pokrytym górską roślinnością, porastającą dolinkę. Było późne popołudnie. Patrząc między konarami drzew, mógł widzieć całą zadrzewioną okolicę, szacowną rzekę Hudson, poruszającą się swym powolnym, majestatycznym nurtem i purpurową chmurkę, której kształt odbijał się na spokojnej tafli wody. Trafiał się też pojedynczy żagiel barki przesuwającej się leniwie po zwierciadlanej toni i znikającej powoli na tle niebieskich wzniesień.

Z drugiej strony widział w dole wąską i głęboką górską dolinkę, dziką, samotną, porośniętą krzewami, której dno zasypane było odłamkami skał i ledwo oświetloną promieniami zachodzącego słońca odbijanymi przez jej zbocza. Rip leżał przez jakiś czas, patrząc rozmarzonym wzrokiem. Wieczór zapadał powoli, góry rzucały już swój długi mroczny cień sięgający aż do granic wioski. Wiedział, że nie uda mu się dotrzeć do domu przed zmrokiem i z ciężkim westchnieniem przypomniał sobie o pani Van Winkle czekającej w domu. Ale nie miał zamiaru zostawać tu na noc i zaczął zbierać swoje rzeczy.

Gdy wreszcie był gotowy żeby ruszyć w dół, usłyszał nagle głos, który z oddali zawołał go po imieniu: “Rip Van Winkle! Rip Van Winkle!” Rozejrzał się, ale nie zobaczył nikogo oprócz wrony przelatującej ponad wierzchołkami drzew. Pomyślał, że wyobraźnia musiała spłatać mu figla więc odwrócił się z zamiarem kontynuowania swojej drogi powrotnej, ale w tym samym momencie usłyszał ponownie odległy głos, powtarzający w wieczornej ciszy: “Rip Van Winkle! Rip Van Winkle!” – W tej samej chwili, przerażony Wilk, podbiegł i wtulił się ze strachem w jego stopy po czym zerkał zatrwożonym okiem na wąską dolinkę opodal. Rip poczuł, że jego również zaczyna ogarniać strach. Spojrzał w tym samym kierunku i dostrzegł niewyraźną ludzką sylwetkę, kogoś, kto z wysiłkiem

przedzierał się w górę po skale, człowieka zgiętego pod ciężarem czegoś, co dźwigał na swoich plecach. Rip był kompletnie zaskoczony widokiem ludzkiej istoty w tym odosobnionym miejscu. Pomyślał, że może to być ktoś z wioski, kto potrzebuje jego pomocy i pośpieszył w kierunku wspinającej się postaci.

Gdy podszedł bliżej, jego zdziwienie i strach odnowiły się na widok nieznajomego o niecodziennym wyglądzie. Był to niski mężczyzna, niemal karzeł, krępej budowy ciała, zaawansowany wiekiem, z gęstymi jak krzak włosami i poskręcaną brodą. Ubrany był na bardzo dawną holenderską modłę – krótki kaftan przewiązany w pasie – kilka par spodni, jedne na drugich, z szerokimi nogawkami, przyozdobionych rzędem guzików po obu stronach i pogrubieniem na wysokości kolan. Mężczyzna niósł na plecach pękatą baryłkę, najwyraźniej wypełnioną jakimś płynem. Wykonał gest w stronę Ripa dając do zrozumienia, że potrzebuje pomocy przy tym ładunku. Pomimo nieufności i nieśmiałości z powodu takiego nieoczekiwanego i niecodziennego spotkania, Rip, ze zwykłą mu gorliwością, pośpieszył z pomocą. Zwolniwszy ciężar z barków nieznajomego poczuł się nieco pewniej i swobodniej. Nieznajomy nie zdradzał najmniejszych oznak agresywności. Obaj pokonali resztę stromego zbocza, które sięgało w dole dna wyschniętego strumienia.

Gdy znaleźli się na górze, Rip usłyszał nagle dziwny łoskot, który powtórzył się kilkakrotnie. Przypominało to odległy grzmot, ale zdawał się on docierać z głębokiego wąwozu albo raczej szczeliny pomiędzy wysokimi skałami, gdzie wiodła ścieżka, którą podążali, zamiast z nieboskłonu. Rip zatrzymał się zalękniony, ale doszedł do wniosku, że musi to być odbite echo jednej z tych przelotnych deszczowych burz, tak częstych w górskich rejonach. Ruszył dalej.

Przeszedłszy przez skalną szczelinę, dotarli do zaokrąglonego jak amfiteatr miejsca, otoczonego pionową skalną ścianą zwieńczoną porastającymi ją drzewami, których gałęzie pochylały się nad tą sceną tworząc rodzaj zadaszenia, tak że tylko w niektórych miejscach można było dostrzec prześwitujące przez gałęzie niebo i wieczorne chmury. Przez całą drogę nie zamienili ze sobą ani słowa. Rip był bardzo ciekawy zawartości baryłki, którą tak cierpliwie dźwigał na swoich plecach, ale obcy mężczyzna robił tak nierealistyczne i onieśmielające wrażenie, że powściągał swoją niezdrową ciekawość i unikał wszelkiej poufałości z nieznajomym.

Wkroczywszy do tego amfiteatru, jego oczom ukazały się nowe dziwne rzeczy. Na niewielkim podwyższeniu, w centrum, znajdowała się grupa postaci, równie dziwacznie wyglądających, jak ten, któremu Rip towarzyszył. Grali w kręgle. Wszyscy niskiego wzrostu. Ubrani w cudzoziemskie stroje; niektórzy w krótkich szortach, inni w serdakach z długimi nożami za pasami, a większość z nich miała na sobie szerokie, pumpiaste spodnie. Ich fizjonomie były nie mniej wyjątkowe: jeden z nich miał długą brodę, szeroką twarz i małe, świńskie oczy; twarz drugiego zdawała się składać wyłącznie z nosa i zwieńczona była białą jak bryła cukru głową ozdobioną małym kosmykiem włosów przypominającym koguci ogon. Wszyscy mieli brody, w różnych kształtach i kolorach. Jeden z nich sprawiał wrażenie przywódcy. Był to gentleman w sile wieku, niemłody, z cerą zniszczoną przez złą pogodę, miał na sobie ozdobny kaftan, szeroki pas i mały miecz, wysoki kapelusz z piórem, czerwone pończochy i buty z grubymi podeszwami, ozdobione rozetami. Cała grupa przypominała Ripowi pewien stary obraz flamandzkiego artysty, który wisiał w salonie Van Shaicka, wiejskiego pastora, a który został przywieziony z Holandii w początkach osadnictwa.

Jednak to, co najbardziej go dziwiło, to był fakt, że chociaż cała grupa najwyraźniej dobrze bawiła się swoją grą, wszyscy mieli niezwykle poważne twarze, wszyscy również pozostawali milczący. A to sprawiało, że całe przyjęcie było najbardziej melancholijnym spotkaniem, w jakim Rip kiedykolwiek brał udział. Nic nie przerywało ciszy tej sceny z wyjątkiem odgłosu kul, które tocząc się, wydawały dźwięk wzmacniany i powielany przez echo, który Rip wcześniej wziął za odgłos grzmotów.

Gdy zbliżyli się do reszty, tamci, jakby dopiero dostrzegli przybyłych, przerwali swoją zabawę i spojrzeli na Ripa tak posągowym, zimnym wzrokiem i z tak dziwnym, niezmieszanym i nieokreślonym wyrazem twarzy, że po raz kolejny serce w nim zamarło a kolana zastukały jedno o drugie. Tymczasem jego towarzysz przelał zawartość baryłki do dużych dzbanków, dając Ripowi znak, że musi poczekać aż tamci poczęstują się pierwsi. Posłuchał, ciągle z duszą na ramieniu, gdy tamci opróżniali swoje dzbanki w kompletnej ciszy. Potem, jak gdyby nigdy nic, powrócili do swojej zabawy.

Lęk i zadziwienie z wolna zaczęły opuszczać Ripa. Nawet ośmielił się, gdy nikt nie widział, skosztować napitku, który przypominał w smaku dobry holenderski likier. Oczywiście lubił sobie wypić, więc wkrótce poczuł potrzebę następnego łyku. W ten sposób przechodził od jednego do kolejnego i wiele razy powracał do swojego dzbanka aż w końcu jego zmysły zaczęły się przytępiać, oczy odpływać, świat wirować w głowie, która przechylała się coraz bardziej, aż w końcu położył się na ziemi i zapadł w głęboki sen.

Gdy się przebudził, zobaczył, że leży na tym samym pagórku, na którym odpoczywał, gdy spotkał swojego dziwnego nieznajomego z doliny. Przetarł oczy – był jasny, słoneczny poranek. Ptaki hałasowały i ćwierkały po krzakach, a w górze orzeł zataczał swoje kręgi, szybując w czystej górskiej bryzie. “Najwyraźniej,” myślał Rip, “nie spędziłem tutaj całej nocy. Ale gdzie w takim razie byłem?” Z trudem przypominał sobie, co wydarzyło się zanim zapadł w sen. Dziwna postać z baryłką na plecach – skalista szczelina – dzika kryjówka między skałami – żałosne przyjęcie z grą w kręgle – dzbanek – “Och! Ten dzbanek! Ten nieszczęsny dzbanek.” Myślał Rip – “teraz będę musiał znaleźć jakieś wytłumaczenie przed panią Van Winkle.”

Rozejrzał się szukając swojej strzelby, ale w miejscu czystej, dobrze naoliwionej fuzji, którą miał ze sobą, znalazł tylko starą strzelbę z zardzewiałą lufą, rozpadającym się zamkiem i kolbą podziurawioną przez korniki. Nabrał podejrzenia, że musiał wpaść w ręce jakiejś bandy rabusiów, którzy celowo upoili go alkoholem a potem okradli z jego nowej strzelby. Wilka również nie było, ale pies mógł przecież pobiec za wiewiórką albo kuropatwą. Gwizdał na psa i wołał go przez dłuższy czas, ale Wilk nie wrócił.

Postanowił udać się jeszcze raz do miejsca wesołego przyjęcia z ostatniego wieczoru z zamiarem odzyskania swojej własności. Gdy podnosił się, zauważył, że jego stawy są sztywne jakby brakowało im fizycznej aktywności od długiego czasu. “Te górskie posłania nie najlepiej robią mojemu zdrowiu,” pomyślał, “jeśli złapię od tego reumatyzm, to resztę nędznego życia spędzę w towarzystwie pani Van Winkle.” Z pewnym trudem, udało mu się wreszcie wstać. Rozprostował nogi i ruszył w stronę dolinki: bez trudu odnalazł szczelinę, którą wspinali się poprzedniego wieczoru, ale ku największemu zaskoczeniu, zobaczył, że wyschnięty górski strumień pienił się teraz na dnie szczeliny, przeskakując ze skały na skałę, wypełniając dolinkę swoim donośnym bulgotaniem. Rip zdołał znaleźć wąski występ na skale, przebrnąć do bardziej otwartego miejsca

i posuwając się wolno, kroczył poprzez gęstwinę brzezin, sasafrasu i oczaru wirgińskiego, chwilami zaplątując się w łodygi dzikiej winorośli plączącej się po gałęziach drzew i tworzącej na jego drodze rodzaj sieci.

Dotarł wreszcie do miejsca, gdzie pomiędzy klifami powinna znajdować się szczelina – wejście do górskiego amfiteatru. Ale tym razem nie było żadnych śladów szczeliny czy otwarcia. Lita skała wznosiła się wysoko, a z tej skały staczał się wąski potok spienionej wody, która wpadała do szerokiego, głębokiego zbiornika, czarnego od cieni rzucanych przez okalający go las. Po raz kolejny Rip zatrzymał się z niedowierzaniem, po raz kolejny zagwizdał na psa ale odpowiedziało mu tylko krakanie stada wron, hałasujących wokół uschniętej korony jednego z drzew, które zwisało ze skały nad doliną. Miał wrażenie, że naśmiewają się z niego, że szydzą z jego kłopotów. Co mógł jeszcze zrobić? Ranek przemijał i Rip poczuł ogromny głód. Żałował straty psa i strzelby, obawiał się spotkania z żoną, ale nie miało też sensu pozostawać w górach, głodnym. Potrząsnął głową, wziął na ramię pordzewiałą strzelbę i z ciężkim, zakłopotanym sercem, skierował swoje kroki do domu.

Gdy znalazł się w pobliżu wioski, napotkał wiele osób, ale nikogo znajomego, co raczej zaskoczyło go, bo znał każdego w okolicy. Ich ubrania również były jakieś inne niż te, do których był przyzwyczajony. Oni z kolei przyglądali się jemu z niedowierzaniem. Za każdym razem, gdy zerkali na niego łapali się za podbródek. Ciągłe powtarzanie się tego gestu sprawiło, że Rip, jakby mimowolnie, zrobił to samo i ku wielkiemu zaskoczeniu odkrył, że jego broda, której jeszcze wczoraj nie miał, jest długa na stopę!

Wszedł w granice wioski. Grupa nieznanych dzieci skoczyła za nim, krzycząc i wyśmiewając jego długą brodę. Także psy, z których żadnego nie przypominał znajomych mu kundli, obszczekiwały go, gdy przechodził drogą. Sama wieś wyglądała zupełnie inaczej, była większa, bardziej zaludniona. Mijał rzędy domów, których nigdy wcześniej nie widział, a te, które spodziewał się zobaczyć, gdzieś zniknęły. Na drzwiach domów widział nazwiska, które były mu obce – obce twarze w oknach – wszystko było obce. Jego umysł zaczął szukać wyjaśnienia, przyszło mu do głowy, że padł on, podobnie jak cały świat, ofiarą jakichś czarów. Nie miał wątpliwości, że to jego rodzinna wieś. Wieś, którą opuścił dzień wcześniej. Tam, w oddali widział góry Kaatskill – tam, w oddali widział przepływającą, połyskując srebrem, rzekę Hudson – każde wzgórze i dolina były dokładnie tam gdzie zawsze były – Rip był kompletnie zdezorientowany – “Ten dzbanek wczorajszej nocy,” myślał, “kompletnie zamieszał mi w głowie.”

Z pewną trudnością udało mu się odnaleźć drogę do jego własnego domu. Podchodził z lękiem, po cichu, spodziewając się usłyszeć krzykliwy głos pani Van Winkle. Znalazł dom w rozpadającym się stanie – z zapadniętym dachem, porozbijane okna i drzwi wyrwane z zawiasów. Na pół zagłodzony pies, który wyglądał jak jego Wilk, zakradł się do ruiny. Rip zawołał go po imieniu, ale zwierzę zawarczało tylko pokazując kły i uciekło. Tego było za wiele – “Mój własny pies,” westchnął, “nie poznał mnie!”

Wszedł do wnętrza, które, przyznajmy to, pani Van Winkle zawsze utrzymywała w nienagannym porządku. Teraz dom był pusty, zapomniany, najwyraźniej niezamieszkały. Ta atmosfera opuszczenia przezwyciężyła małżeńskie lęki – zawołał głośno imię swojej żony, imiona dzieci, ale pusty pokój rozbrzmiewał tylko przez chwilę jego głosem, a potem znowu zapanowała cisza.

Wybiegł na podwórze, skierował się do gospody – dawnego miejsca spotkań – ale gospody nie było. Duży, chwiejący się drewniany budynek stał na jej miejscu,

z wielkimi pustymi oknami, niektóre z nich z powybijanymi szybami inne połatane starymi kapeluszami i płaszczami, a ponad drzwiami wejściowymi mógł odczytać z namalowanego napisu: *The Union Hotel, by Jonathan Doolittle*. Zamiast ogromnego drzewa, które rzucało cień na małą holenderską gospodę z dawnych czasów, teraz ustawiono tam wysoki, zwieńczony czymś, co przypominało czerwoną szlafmycę maszt, na którym powiewała flaga, z dziwnym wzorem ułożonym z gwiazd i pasków – wszystko to zupełnie niezrozumiałe. Jedyne, co udało mu się rozpoznać to portret rumianego króla Jerzego, pod którym wypalił tyle fajek pokoju, ale i tu nastąpiły dziwne zmiany: czerwony kubrak został przemalowany na niebiesko, w miejscu berła znajdowała się szabla, głowa udekorowana była trójgraniastym kapeluszem, a poniżej wymalowano dużymi literami: GENERAŁ WASHINGTON.

Jak zwykle było trochę tłumu wokół drzwi frontowych, ale nikt, kogo Rip mógłby rozpoznać. Samo zachowanie ludzi było zupełnie inne. Słyszał nerwowe, rozdyskutowane głosy, zamiast cichych flegmatycznych, które pamiętał. Na próżno rozglądał się za Nikolasem Vedderem, z szeroką twarzą, podwójnym podbródkiem i jasną, długą fajką, puszczającym znacząco kłęby tytoniowego dymu, zamiast wypowiadania słownych opinii. Nie było Van Bummela, dyrektora szkoły, rozczytanego w starej gazecie. Na ich miejscu, jakiś szczupły, chorobliwie wyglądający mężczyzna, z kieszeniami wypchanymi ulotkami, zwracał się do tłumu w rozkrzyczany sposób, mówiąc o prawach obywateli – o wyborach – członkach kongresu – wolności – o Bunker Hill – bohaterach siedemdziesiątego szóstego roku – i inne rzeczy, które dla zdezorientowanego Van Winkle'a były kompletną babilońską gwarą.

Pojawienie się Ripa, z jego długą, poskręcaną brodą, zardzewiałą strzelbą, dziwnie skrojonym płaszczem, obleganego przez armię dzieciaków i kobiet podążających za nim, natychmiast zwróciło uwagę karczemnych gości. Skupili się wokół niego, mierząc go wzrokiem od stóp do głowy z wielkim zainteresowaniem. Mówca rzucił się w jego kierunku, odciągając innych na bok. Zapytał:

- Na kogo głosował? - Rip patrzył na niego ogłupiały.

Inny mężczyzna, niski ale energiczny, pociągnął go za rękę i stając na palcach pytał prosto do ucha:

- Czy jesteś demokratą czy federalistą?

Rip nie wiedział co odpowiedzieć, bo nie rozumiał, o co go pytano. Nagle jakaś ważniejsza figura utorowała sobie drogę poprzez tłum, rozpychając gapiów łokciem na lewo i prawo. Tuż przed Van Winklem stanął, z jedną ręką założoną na plecy, drugą spoczywającą na lasce, mężczyzna w kanciastym kapeluszu i z przenikliwym wzrokiem, który zdawał się przenikać samą duszę Ripa. Mężczyzna mówił stanowczym, apodyktycznym głosem domagając się odpowiedzi:

- Dlaczego przyszedłeś na wybory ze strzelbą na ramieniu. Z tłumem za plecami. Czy masz zamiar wszcząć bunt w wiosce?

- Na miłość boską, ludzie! - Wykrzyknął Rip wystraszony, - jestem spokojnym, ubogim człowiekiem, pochodzę z tej wioski i jestem lojalnym poddanym króla, niech Bóg go zachowa!

Na te słowa w tłumie zerwały się okrzyki pełne oburzenia:

- Torys! Torys! Szpieg! Wyrzucić go stąd!

Tylko z wielkim trudem ważny jegomość zapanował nad rozentuzjazmowanym tłumem. Przybrał dziesięciokrotnie groźniejszą minę i zaczął wypytywać nieznajomego, po co przyszedł, kogo tutaj szuka.

Biedny Rip Van Winkle tłumaczył z pokorą, że nie ma zamiaru nikogo krzywdzić, a przyszedł dlatego, że tu mieszka i jeśli mu nie wierzą to niech zapytają jego sąsiadów i przyjaciół, którzy zwykli spędzać wolny czas przed tą gospodą.

- A kim oni są? Powiedz ich imiona.

Rip zastanowił się przez chwilę a potem zapytał:

- Gdzie jest Nikolas Vedder?

Przez kilka sekund panowała głucha cisza, którą przerwał jakiś starszy jegomość z cienkim, piskliwym głosem, udzielając nieoczekiwanej odpowiedzi:

- Nikolas Vedder! On nie żyje od osiemnastu lat! Tam stał drewniany nagrobek, na kościelnym cmentarzu, ale nawet nagrobek już się rozsypał.

- A gdzie jest Brom Dutcher?

- Poszedł do wojska na samym początku wojny, niektórzy mówią, że zginął w czasie ataku na Stony Point, – inni, że utonął w czasie burzy przy Antony's Nose. Ja nie wiem co się z nim stało, ale nigdy z wojny nie wrócił.

- Gdzie jest Van Bummel, dyrektor szkoły?

- On też był na wojnie, został generałem, zacny człowiek, teraz jest w Kongresie.

Serce Ripa płakało, gdy słuchał o tych wszystkich smutnych zmianach w jego domu i wśród przyjaciół. Okazało się, że został sam na świecie. Każda odpowiedź wprawiała go w zakłopotanie, bo widział tu jakąś ogromną dziurę w czasie, której nie potrafił zrozumieć, niczego nie potrafił zrozumieć: wojna – Kongres – Stony Point – nie miał odwagi pytać nikogo o nic i na koniec wykrzyknął w pasji desperacji:

- Czy ktoś wie, co się stało z Rip Van Winklem?

- Och, Rip Van Winkle, - odpowiedziało dwóch albo trzech ze śmiechem, - to ten tam, oparty o drzewo.

Rip obrócił się i zobaczył siebie samego. Wyglądał dokładnie tak, jak wtedy, gdy wyruszył w góry. Tak samo leniwy, tak samo odziany w obdarte ciuchy. Teraz biedak był kompletnie zagubiony, przybity. Zaczął wątpić w swoją własną tożsamość, w swoje własne zmysły, czy był on tym samym człowiekiem, czy kimś innym?

Gdy był tak pogrążony w swoich desperackich rozważaniach, mężczyzna w kanciastym kapeluszu domagał się, aby Rip wyznał kim jest, jakie jest jego imię?

- Bóg raczy wiedzieć, - wykrzyknął Rip odchodząc od zmysłów. - Nie jestem sobą, jestem kimś innym! Ten tam, to ja, nie, to ktoś inny, kto wszedł w moje ciało, jeszcze wczoraj byłem sobą, ale zasnąłem w górach, a oni zamienili moją strzelbę, wszystko się zmieniło, ja się zmieniłem. Nie potrafię powiedzieć kim jestem, ani jakie jest moje imię!

Gapie zaczęli rozglądać się po sobie, kiwać głowami, mrugać okiem ze zrozumieniem i postukiwać palcami w czoło. Ktoś zasugerował, żeby odebrać mu broń aby powstrzymać szalonego starca od zrobienia komuś krzywdy, a ważny jegomość, słysząc te bezładne tłumaczenia, westchnął tylko głośno i odszedł w swoją stronę.

W tym momencie jakaś kobieta, młoda, energiczna, zbliżyła się przepychając przez tłum. Podeszła blisko aby przyjrzeć się dziwnemu starcowi z siwą brodą. Niosła na rękach dziecko, które na widok Van Winkle'a zaczęło płakać.

- Cicho, Rip, - powiedziała kobieta do dziecka, - cicho, ty mały głuptasie, ten starzec nie zrobi ci krzywdy.

Imię dziecka, wygląd jego matki, ton jej głosu, wszystko to przywołało do głowy Ripa silne wspomnienia.

- Jak się nazywasz, dobra kobieto? - Zapytał.

- Judith Gardenier.

- A imię twojego ojca?

- Ach, biedny Rip Van Winkle, takie było jego imię, ale minęło już dwadzieścia lat odkąd poszedł w góry ze swoją strzelbą i psem i nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy. Pies powrócił sam następnego dnia, czy mój ojciec zastrzelił się, czy został porwany przez Indian, nikt nie wie. Ja byłam wtedy bardzo mała.

Rip chciał zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie, a gdy je wypowiadał, głos mu drżał.

- Gdzie jest twoja matka?

- Matka też nie żyje, ale zmarła zupełnie niedawno, pękła jej żyła w mózgu na jarmarku w New England.

Wreszcie Rip usłyszał jakąś lepszą wiadomość. Biedny starzec nie mógł powstrzymywać się ani chwili dłużej. Chwycił w ramiona swoją córkę i wnuka wykrzykując:

- Jestem twoim ojcem, - krzyczał, - młody Rip Van Winkle wtedy, a dziś stary Rip Van Winkle, czy nikt tutaj nie rozpoznaje biednego Ripa Van Winkle?

Tłum stał w zadziwieniu, aż jakaś starsza kobieta, stojąca pomiędzy gapiami, przyłożyła dłoń do czoła osłaniając oczy przed słońcem, przyglądała się twarzy Ripa przez chwilę, a potem wykrzyknęła:

- A jakże, to jest Rip Van Winkle, we własnej osobie! Witaj w domu, stary sąsiedzie. I mów, gdzie byłeś przez te wszystkie lata?

Historia Ripa została opowiedziana szybko, bo całe dwadzieścia lat było dla niego zaledwie jedną nocą. Zebrani wytrzeszczali oczy słuchając niewiarygodnej opowieści. Niektórzy z niedowierzaniem mrugali okiem i wypychali policzek językiem, a ważny jegomość w kanciastym kapeluszu, który powrócił, gdy przybysz został rozpoznany, krzywił swoje usta i potrząsał głową. Inni szli w jego ślady aż w końcu nie było nikogo, kto wierzyłby w historię Van Winkle'a.

Zostało postanowione, że niezbędne będzie zasięgnąć opinii Petera Vanderdonka, który właśnie nadchodził główną ulicą, wolnym krokiem. Był on potomkiem starego Petera Vanderdonka, który spisał historię pierwszych lat osadnictwa w tym regionie. Peter był najstarszym mieszkańcem wioski, był ekspertem we wszelkich wydarzeniach i tradycjach regionu, włączając te trudne do racjonalnego wytłumaczenia. Peter przypomniał sobie Ripa natychmiast, potwierdził też bez wahania prawdziwość opowiedzianej historii, dając najbardziej autorytatywny dowód. Zapewnił zgromadzony tłum, że jest faktem potwierdzonym przez jego przodka, starego Petera Vanderdonka, że góry Kaatskill od zawsze były nawiedzane przez dziwne istoty. Jest też niezaprzeczalnym faktem, że wielki Henry Hudson, pierwszy odkrywca tych ziem i rzeki nazwanych od jego imienia, trzymał coś w rodzaju warty w górach. Co dwadzieścia lat, razem ze swoją załogą z *Half Moon*[1]. Mając pozwolenie na odwiedzenie miejsc swoich największych osiągnięć, sprawując opiekę nad rzeką i miastem noszącym jego imię. Peter zapewnił, że jego ojciec widział ich na własne oczy, ubranych w dawne holenderskie stroje, grających w kręgle w jednej z górskich dolin. Dodał

[1] Henry Hudson wyruszył na swoją ostatnią wyprawę w 1611 roku. W trakcie podróży doszło do buntu załogi. Hudson wraz z grupą najwierniejszych podwładnych został zostawiony na morzu w szalupie. Słuch po nich zaginął. Inna wersja sugeruje, że na pokładzie popełniono morderstwo. Tajemnica śmierci Hudsona nigdy nie została wyjaśniona. - *Przyp. tł.*

również, że on sam, pewnego letniego popołudnia, słyszał odgłos toczących się kul, który przypominał odległe grzmoty.

Aby nie przedłużać tej opowieści: zgromadzenie rozeszło się, każdy powrócił do swoich obowiązków związanych z wyborami. Córka Ripa zabrała go do swojego domu domagając się żeby zamieszkał z nimi. Miała przytulny, ładnie urządzony dom i pracowitego, wesołego małżonka-farmera. Rip rozpoznał w nim jednego z urwisów wdrapujących się na jego plecy w dawnych czasach. Jeśli chodzi o syna Ripa i jego spadkobiercę, który był wykapaną kopią swojego ojca, a którego widzieliśmy stojącego na uboczu, opartego o drzewo, to był on zatrudniony w gospodarstwie swojej siostry. Wykazywał silną skłonność, odziedziczoną po ojcu, do zajmowania się wszystkim oprócz swoich własnych obowiązków.

Rip z łatwością powrócił do zwykłego trybu życia, wkrótce odnalazł większość swoich dawnych kompanów, wszyscy w gorszej kondycji niż widział ich ostatnim razem. Dlatego wolał raczej zawierać nowe znajomości wśród młodszego pokolenia, u których szybko zdobył pewne uznanie.

Nie mając nic do roboty w domu, osiągnąwszy ten szczęśliwy wiek kiedy człowiek może być bezkarnie leniwy, na nowo znalazł swoje miejsce na ławce przed dawną gospodą i był uznany za swego rodzaju wyrocznię, kronikę wydarzeń “sprzed wojny”. Musiało minąć trochę czasu zanim oswoił się z nową rzeczywistością i zmianami, które zaszły podczas jego tajemniczej nieobecności. Jak to się stało, że była wojna o niepodległość – że kraj zrzucił zwierzchnictwo Starej Anglii – i że teraz, zamiast poddanym Jego Wysokości Jerzego III, jest wolnym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Rip nie był politykiem, w żadnym razie, zmiany polityczne w krajach i imperiach niewiele go interesowały, znał tylko jeden rodzaj despotyzmu, pod którym długo cierpiał – despotyzm małżeński. Szczęśliwie, ten despotyzm dobiegł końca, a on wyrwał swój kark spod jarzma małżeństwa i mógł wędrować gdziekolwiek tylko chciał, bez obawy o panią Van Winkle. Jednak kiedykolwiek jej imię było wspominane, potrząsał głową, trząsł ramionami i wywracał oczy, co mogło być odczytane zarówno jako wyrazy żalu po utracie małżonki, albo też jako oznaki radości z odzyskanej swobody.

Miał też zwyczaj opowiadania swojej historii każdemu obcemu, który zatrzymywał się w hotelu Mr. Doolittle. Zauważono od początku, że za każdym razem, gdy ją opowiadał podawał nieco inne szczegóły, co tłumaczono tajemniczym likierem, który spożył i nagłym przebudzeniem. Ostatecznie ukształtowała się jedna wersja historii, ta, którą opowiedziałem, i nie było podówczas mężczyzny, kobiety, czy dziecka w wiosce, którzy nie znaliby jej na pamięć. Byli też tacy, którzy nigdy do końca w nią nie uwierzyli. Utrzymywali oni, że Rip był niespełna rozumu, dlatego często mylił opowiadane fakty. Jednak starzy Holendrzy, niemal jednogłośnie, przyjęli ją jako niezaprzeczalnie prawdziwą. Do dziś nie mówi się tutaj o grzmotach w letnie popołudnie nad Kaatskill, ale o Henrym Hudsonie i wiernych członkach jego załogi, którzy grają w kręgle, w odległych, ukrytych leśnych amfiteatrach. Jest też powszechne pomiędzy mężczyznami, którzy cierpią pod jarzmem apodyktycznych żon, wspominać z rozrzewnieniem magiczny dzbanek Ripa Van Winkle’a.

## ZAKOŃCZENIE

Historię tę, niektórzy mogliby powiedzieć, pan Knickerbocker oparł na pewnej niemieckiej legendzie o Cesarzu Fryderyku der Rothbart i górach Kyphaüser, ale dołączona notatka potwierdza zupełnie jej autentyczność i fakt, że została opowiedziana z typową dla badacza skrupulatnością:

> "Opowieść o Rip Van Winkle'u może się dla wielu wydawać niewiarygodną, ale osobiście wierzę w nią najzupełniej, a to dlatego, że znam tę okolicę zasiedloną przez holenderskich emigrantów, wiem, że jest to miejsce nawiedzone, gdzie dziwne zdarzenia i zjawiska są na porządku dziennym. Co więcej, słyszałem wiele innych historii dużo bardziej niewiarygodnych niż ta, o zdarzeniach, które miały miejsce w tym rejonie rzeki Hudson, które już wcześniej zostały potwierdzone jako autentyczne. Rozmawiałem nawet osobiście z Ripem Van Winklem, który w tym czasie był już szanowanym starszym obywatelem, a którego świadectwo było tak racjonalne i koherentne w każdym szczególe, że nie rozumiem dlaczego rozsądny człowiek mógłby poddawać je w wątpliwość. Mogę też zaświadczyć, że widziałem potwierdzenie autentyczności tej historii spisane w sądzie i potwierdzone znakiem krzyża przez sędziego. Historia jest tym samym uznana za całkowicie autentyczną i zweryfikowaną. D. K." – PRZYPIS AUTORA.

POST SCRIPTUM
Dołączam tu zapiski podróżne z pamiętnika pana Knickerbockera:

"Góry Kaatskill, albo Catskill, zawsze były miejscem przesiąkniętym baśniowością. Indianie uważali je za siedzibę duchów, które decydowały o pogodzie, zsyłając słońce albo chmury nad całą okolicą, o dobrym albo złym sezonie polowań. Na czele tych zjaw stał duch pewnej starszej *squaw*, która, jak wierzyli Indianie, była matką wszystkich zjaw. Jej duch przebywał na najwyższym szczycie pasma Catskill. Pilnowała ona aby drzwi dnia i nocy były otwierane o właściwej godzinie. Zawieszała na niebie Księżyc w nowiu, a stary rozbijała na drobne gwiazdy i rozsypywała je po nieboskłonie. W czasie suszy, jeśli w odpowiedni sposób poproszona o łaskę, była w stanie utkać lekkie chmury z pajęczyn i porannej rosy i wysłać je znad szczytów gór na równiny, płatek po płatku, jak kawałki bawełny, aby wirowały w powietrzu, aż rozpuszczone pod wpływem żaru słońca, opadały na ziemię w postaci życiodajnych deszczy, w których trawa odrastała, owoce dojrzewały, a kukurydza rosła z szybkością jednego cala na godzinę. Jednak, nie obłaskawiona, mogła utkać chmury czarne jak tusz, siedząc pośrodku nich jak pająk pośrodku swojej pajęczyny, a gdy te chmury otwierały się, na równinę spadały kataklizmy.

"W dawnych czasach, jak głosi indiańska tradycja, w górach tych żył duch zwany Manitou albo Wielki Duch, który panował nad najdzikszymi krańcami gór Catskill i czerpał złośliwą przyjemność zsyłając wszelkiego rodzaju nieszczęścia na czerwonoskórych ludzi. Czasami przybierał on postać niedźwiedzia, czasami pantery albo jelenia. Wiódł zdezorientowanego myśliwego do wyczerpującej gonitwy poprzez gęste lasy i ostre skały, a potem, ukazując się nagle z głośnym 'Ho! Ho!' zostawiał go sparaliżowanego strachem na krawędzi stromego urwiska albo rwącego strumienia.

"Ulubione miejsce tego Manitou jest znane i dobrze widoczne. Jest to wielka skała albo klif w najbardziej osamotnionej części gór, zwanej, od kwitnących winorośli, które porastają to miejsce i od dzikich kwiatów, w jakie obfituje cała okolica, *Skalistym Ogrodem*. U stóp tej skały znajduje się małe jezioro, nawiedzane przez żuka samotnika, z wodnymi wężami wylegującymi się na liściach wodnych lilii dryfujących po powierzchni. Było to miejsce szczególnie święte dla Indian, szanowane do tego stopnia, że najbardziej odważny biały myśliwy, w pogoni za zwierzyną, nie zapędzał się w jego granice. Od czasu do czasu myśliwi ginęli tam bez wieści. Wieść niesie, że pierwszy, który zgubił tam swoją drogę, wkroczył do skalnego ogrodu, gdzie znalazł owoce tykwy ogromnych rozmiarów, tkwiące w rozgałęzieniach drzew. Zerwał on jeden z tych owoców i próbował uciec przed Wielkim Duchem, ale w pośpiechu upuścił swą zdobycz na skałę, a tam gdzie owoc upadł wytrysnęło tak silne źródło wody, że porwało myśliwego ze sobą i strąciło w przepaść, gdzie zginął. Strumień wpada do rzeki Hudson i po dziś dzień znany jest pod nazwą Kaaters-kill."